

Świeci słońce jak intruz

Osiedlowa geometria bydgoskiego Fordonu, poranek długiego majowego dnia.

Nieskomplikowana scenografia. Żadnej galeryjnej przestrzeni, aranżacyjnej strategii – piwnica starej szkoły i płótna zabezpieczone folią bąbelkową. I napięcie towarzyszące oczekiwaniu. Do dyspozycji jest namacalna rzeczywistość i jej rewers, ten nieuchwytny moment między ruchem a zatrzymaniem, czyli płótna Roberta Procha.

Proces percepcji obrazu to suma wielu doświadczeń, własnych klisz, nieświadomości, swobody. Znajomość języka malarskiego bywa wyuczona, intuicyjna, ugruntowana teorią czy empiryczna. Nie ma recepty. Sztuka wymaga odwagi, bo nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie. Jeśli masz zdrowy model przywiązania, poprzestaniesz na zrównoważonym kontakcie. Obraz Cię nie poźre, może kłapnie zębami. Ale bywa i tak, że poczujesz zawroty głowy i nie odwrócisz wzroku, mimo świadomości nadciągającej katastrofy. Obraz pójdzie za Tobą albo Ty za nim, zapisze się w tym miejscu między widzeniem a wyobraźnią, między pragnieniem, strachem i brakiem. I ta nowa wypowiedź złoży się po części z Ciebie, a po części z obrazu. Niczym stąpanie po nieznanym lądzie, nie ma limitu odkrywania. Nie ma też okoliczności dobrych czy złych. Ani white cube, ani tymczasowy magazyn nie mają znaczenia, gdy stajesz wobec obrazu. To intymna relacja, nie liczy się otoczenie ani okoliczności, liczy się doświadczenie.

W głowie kotłują się zwyczajne pytania: kim był autor i dlaczego te obrazy powstały. I dalej, sztuka, czy musi brzmieć romantycznie, totalnie? Po co pytać, rozwarstwiać i grzebać pod podszewką. Może warto postawić granice własnym projekcjom, by nie popaść w pretensjonalny ton. Jest przecież obraz i wyzwanie, by przez ten jeden moment zobaczyć i poczuć to, co naprawdę w nim żywe.

Ta witalność to być może wynik bardzo konkretnej postawy autora – potrzeby stawiania wobec obrazu, tej przestrzeni do wypełnienia. Codzienna, wielogodzinna obecność w pracowni. Mozolna, konieczna, skupiona. Bo to jest właśnie ta aktywność, i to trzeba robić, nie tworząc żadnej skomplikowanej strategii, dysponując wybitną sprawnością warsztatu i jakimś rodzajem metafizycznej puenty. Wyciąganie fragmentów rzeczywistości, składane ich w nowe struktury, jak niespodziewane zderzenia życia. Ludzie, którzy nigdy nie mieli się spotkać, wirowanie w dziwnej pętli mroku i światła neonów. Trochę jak tworzenie scenariusza snu, według tej alogicznej, onirycznej zasady mieszania się scen, rekwizytów i bohaterów. Wychodzimy, słońce dalej dobitnie i bezlitośnie oświetla i razi, a dookoła jest zwyczajny świat. Ale jest też ten, który wciąga, przeraża, a dyskomfort narasta wraz z nieumiejętnością odejścia. Bo jak zostawić za sobą możliwość czucia i przeżycia, tej jedynej w swoim rodzaju stymulacji zmysłów? Niepohamowana dynamika obrazu zatrzymuje. Wchodząc w ten trans, ćwiczysz oddanie kontroli – zgodę na bycie częścią reżyserowanego zdarzenia, uwikłanie w ruch, który napędza do życia, działania, ale może być też jak płytki oddech albo hiperwentylacja. Przerażenie i zachwyty, bez szans na ucieczkę, ale przecież chcesz tam zostać.

Karolina Pikosz

